

częściej używamy ich błędnie. Przepis ich użycia zawarty jest w kulturze, dlatego kultura i cywilizacja powinny rozwijać się współmiernie. Wydaje się to nieodzownym warunkiem dla przeżycia ludzkości. (...)

Takie myśli przychodzą mi na tym samotnym wygnaniu.

Ale dość tej filozofii. Powróćmy do naszego pierwszego tematu. Ta do Lwowa.

Wiedziałem kiedyś w telewizji obrazki z ówczesnej rzeczywistości – to było już po „pierestrojce”. Może teraz to się zmieniło? Ale wtedy zobaczyłem kolumnę Mickiewicza na tle obdrapanych domów, pomalowanych na jakiś „kazionny” kolor, z powybijanymi szybami, przez które powiewały podarte firanki. Na ścianach domów wypisane były białą farbą, cyrylicą, jakieś prawdy życiowe. Po ulicach posuwali się ludzie w kufajkach, w futrzanych czapkach patrzący bezmyślnie w dal. Każdy niósł jakiś tobolek, jak mrówka do mrowiska. Potem widziałem pomalowane na żółto Ossolineum i tylko kawki, jak za dawnych lat, kłębiły się chmurą nad jesiennymi drzewami. I te bruki lwowskie, którym nawet czołgi przewalających się armii niemieckich i sowieckich nie daly rady.

Było mi smutno i zacząłem chodzić myślami po ulicach przedwojennego Lwowa, przypominać sobie czasy i ludzi związanych ze Lwowem mojej młodości.

A więc najpierw Chorążczyzna, gdzie mieszkałem.

Z Cytadeli schodziła do niej stromo ulica Heleny Dąbczyńskiej, dawniej ul. Cytadelna. Przez nią to właśnie, w dzień deszczowy i ponury, szły kiedyś lwowskie dzieci na tułaczkę, ale z nadzieją na powrót. Tym razem ta nadzieja zawiodła.

Idąc od Cytadeli w stronę ul. Akademickiej, miałem wiele wspomnień.

Więc był Plac Dąbrowskiego ze studnią artezyjską, w której brano wodę w czasie wojny ukraińskiej, kiedy nie działały wodociągi lwowskie.

Gdzieś na Chorążczyźnie stał pałacyk hr. Aleksandra Fredry, ale już za moich czasów nie było po nim żadnego śladu. Naprzeciwko placu Dąbrowskiego stał jednopiętrowy dom, w którym było seminarium handlowe żeńskie Anny Rychnowskiej-Glorochowej. Mąż pani Anny, inż. Gloroch, był Ukraińcem i konstruktorem pływającego młyna, w którym mielili zboże dla ukraińskich chłopów mieszkających nad Dniestrem. Dom ten był też szczególnie, bowiem mieszkał w nim inż. Franciszek Rychnowski albo *Iks von Chyr* (czytaj wspaniale) de Wyszegrad. Kiedyś miał on tam fabrykę zatrudniającą stu ludzi. Cały personel został za moich czasów zredukowany do jednego człowieka, starszego pana Maciaka, który pracował tam na własne utrzymanie.

Pan Rychnowski był niezwykle oryginalnym, średniego wzrostu, z brzuszkami, nosił kapelusz z piórkiem spod którego spadały mu na ramiona długie, siwiejące włosy. Miał ogromny ogórkowaty nos. W krawacie lśniła wielka perła, którą dostał za jakieś zasługi od królowej Carmen Silva. A z butonierki zwisał order nadany mu przez królową Wiktorię.

Inżynierowie-elektrycy byli cenieni w owych czasach. Pan Rychnowski założył w gmachu sejmu galicyjskiego (późniejszego UJK) pierwsze na terenie Imperium Austriackiego oświetlenie elektryczne, do którego elektrownia i lampy lukowe były skonstruowane przez niego (w tym czasie nie można było nic takiego kupić).

Plotka mówi, że jeden z ówczesnych posłów próbował kupić od pana Rychnowskiego beczkę *tego, co świeci* w lampach lukowych, bowiem inżynier twierdził, że udało mu się skroplić substancję, która tworzy elektryczność. Wydał nawet dwie broszury: „Omnia in Sole” oraz „Prana Vis Vitalis”, a także pozostawił po sobie gruby manuskrypt pisany kodem. Inżynier uważał, że udostępnienie tej wiedzy całej ludzkości grozi katastrofą.

Po śmierci pana Rychnowskiego zakodowany manuskrypt był w rękach Tadeusza Zwiernickiego, jego pasierba.

Pan Rychnowski leczył też ludzi jakimiś promieniami wytwarzanymi przez jego maszyny, które przypominały wyglądem maszyny Wimshursta.

Kiedy słusznie zaniepokojona Izba Lekarska zaczęła badać działalność inżyniera i przesłała mu do wyleczenia psa ze sparaliżowaną nogą, pan Rychnowski wyleczył mu ją, ale sparaliżował mu inną nogę i odesłał psa z powrotem, aby tym razem wyleczyli go lekarze. Zyskało mu to pewne uznanie i dostał pozwolenie na leczenie, ale przydzielono mu do nadzoru lekarza dr. Kowalskiego. Pan Rychnowski twierdził również, że jeszcze przed Edisonem skonstruował fonograf, co było o tyle możliwe, że idea „wisiała w powietrzu”.

Jego kolorowe przeżrocza widziałem osobiście w jego pracowni, w której wisiał pod sufitem wypchany krokodyl.

Pan Rychnowski miał też duże uznanie u teozofów, a nawet Anne Bessant odwiedziła go we Lwowie. W jego staromodnym salonie wisiał duży obraz, zajmujący całą ścianę, przedstawiający w matejkowskim stylu kazanie Savonaroli, malowany przez ucznia Matejki – pewnego Rusina, którego nazwiska nie pamiętam.

W rupieciarni, która pozostała po fabryce, były trzy samochody. Jeden parowy, na paliwo naftowe, jeden elektryczny z ogromnym kufrem akumulatorów i jeden jednocylindrowy – „modern”, bo już na benzynę.

Jako jeszcze jeden rys charakterystyczny pana Rychnowskiego: był to wielki patriota i na wszystkich pochodach trzeciomajowych szedł w pierwszej czwórce z białą-czerwoną kokardą.

Alchemik? Być może.

Czuję, że zbyt długo zatrzymałem się na osobie pana Rychnowskiego.

Idziemy zatem dalej. Mijamy poprzeczną ulicę Sokola z „knajpką” Maksymowicza na rogu. Ulica ta znów zasługuje na uwagę, gdyż mieściła dwie, a właściwie trzy ważne instytucje. Pierwszą był gmach Sokola Macierzy, drugą redakcja i drukarnia *Wiek Nowego*, a trzecią VII Gimnazjum Neoklasycyzmu im. Tadeusza Kościuszki, którego i ja byłem uczniem.

To gimnazjum było nową formą szkolnictwa niezależnego od wiedzy klasycznej, a kładącego większy nacisk na nauki ścisłe, coraz bardziej potrzebne w rozwijającej się coraz szybciej technice. Nikt jeszcze nie przewidywał komputerów lub konsekwencji teorii Einsteina, o której mówiono początkowo jako o ciekawostce naukowej bez praktycznego zastosowania.

Gimnazjum dało nam jednak wystarczająco wiadomości o świecie klasycznym, o początkach filozofii, o Sokratesie, o pierwszych krokach i kłęsce demokracji ateńskiej. Przygotowało nas ono na przyjście nowego porządku świata.